

Katakлизм, nazwany Wojną o Północ, przez łącznie kilka dekad swojego trwania przyniósł wiele zmian. Wielu przestało już nawet załamywać ręce nad tym faktem. Na Północy bowiem niewiele rzeczy zmienił na lepsze, w większości kierunek zmian oznaczał zmianę w gruzy i popioły.

Styrgradu dotyczyło to w szczególności.

Kto znał to miasto sprzed wojny, z trudem rozpoznawał je teraz. Nie było przestronnych alei i rozświetlonych pałaców, nie było strzelistych wież Odearety, świątyn Hatuanu, nic nie zostało z gęsto przytulonych do siebie czerwonych dachów Alcaronu. Zamiast pociętego tawernami nabrzeża na Loranicie ku rzece zsuwały się kolejne gruzowiska, a na pustych przestrzeniach, przemieszane ze śmieciami, rozrastały się pola cementarne, znaczone symbolicznymi tablicami, zwykle po prostu zatkniętą między kamienie deską z wrytym imieniem. Albo kilkoma imionami. Albo kilkuset.

Ludzie przywykli. Nauczyli się mieszkać w piwnicach, przemykać między zrujnowanymi budynkami, przywykli do nieustannie skrzypiącego w zębach pyłu, do zapachu prochu, odchodów i rozkładających się zwłok. Do śmierci też przywykli. Zawzięta wola przetrwania i gniew, przysłaniający wszystko gniew, mający źródło w zbyt wielu stratach, jakie ponieśli, nie pozwalał odpuścić. Nawet pozbawiający nadziei głód nie był w stanie wypalić i zdusić tego gniewu, wściekłości za wszystko, co katakлизм im odebrał. Ukochanych bliskich, domy, lata życia, a przede wszystkim ludzką godność, skazując na ponurą egzystencję w ruinach. W poszarzałych od wszechobecnego kurzu twarzach oczy niosły ten wściekły płomień, coś, co przerażało przeciwników bardziej niż stada demonów, bo od mieszkańców Styrgradu nie mogli oni oczekiwać ani odrobiny litości.

W istocie stolica Styrii stała się jednak miastem popiołów.

Nad morzem poczerniałych ruin wciąż wznosiły się tylko uparte mury fortec i przyczółków, wciąż jeszcze ożywiając kolorem rdzawej cegły szaro-szary krajobraz. W obłożonym już od niemal pół roku mieście sytuacja była bardziej niż dramatyczna. Potężna, niemal trzystutysięczna armia rozłożyła się wokół murów, blokując wszystkie możliwe drogi dojazdowe. Nieliczne, niesione na plecach transporty docierały do miasta tylko poprzez gęsto przylegającą do murów na niektórych odcinkach dżunglę, ale to było o wiele za mało, by zapewnić minimum choćby broniącym miasta żołnierzom. Zresztą i to udawało się z rzadka, bo oblegający także te odcinki starali się opanować, karczowali las na potęgę, kopali rowy irygacyjne, rozkładali warowne obozy.

Niemal sto tysięcy Wergundów broniło Fortecy Cartalezza i przyczółka Bramy Gerejskiej. Część z tego stanowiła znakomita zakonna kawaleria, od dawna jednak pozbawiona wierzchowców. Na szczęście trzon wergundzkich sił, potocznie nazywanych już „tymenem Rodlingena”, składał się głównie z niezrównanych, pancernych pawężników, doświadczonych pod Erwick i Perbatasan. Południowych dzielnic i przyczółków na murach bronili żołnierze trzech zawodowych styryjskich tereji, w tym weterani Tereji Kalidoryjskiej, która, odrodzona w Górach Larionu, pierwsza wkroczyła do wyzwalanego kraju. Tercje Gerejska i Styrgradzka i dwie tercje ochotnicze nie miały nigdy czasu, by przejść porządne szkolenie, składały się z powoływanych pospiesznie pod broń cywili, ale także doświadczonych latami walk w lasach partyzantów. O ile Wergundowie stanowili żelazną pięść Północy, o tyle Styryjczycy byli jej furią, uosobieniem zemsty za wszystko, co najazd Qasyran przyniósł.

Wyłomem w obronie miasta stała się jednak cytadela.

Położona na północnym brzegu, w dzielnicy Hatuan, jedna z trzech wielkich miejskich twierdz była bezpośrednio połączona z Przyczółkiem Kalidoryjskim i traktem wiodącym od strony węzła komunikacyjnego w Cordaverze. Gdy armie Zapółdnia przedarły się przez rzekę, nie mogły uderzyć bezpośrednio na miasto, zmuszone na podmokłym i gęsto zalesionym terenie trzymać się

traktów. Stojący na czele oblężenia tana-tlaton Moho Tepe z plemienia Tecuixin zarządził więc koncentrację sił w Cordaverze, początkowo bardzo dla strony Północy pozytywną, umożliwił bowiem tym samym powrót do miasta wergundzkim oddziałom, które obroniły przeprawę w Gerei. Jednak skoncentrowane uderzenie, które z Cordavery wyprowadzono na Przyczółek Kalidoryjski, zmiotło obronę i zatrzymało się dopiero na murach bastionu Altabera, wchodzącego już w skład linii umocnień twierdzy Odearety, zostawiając całą dzielnicę w rękach inwazyjnej armii. Tak daleko wysunięty szaniec był dla Qa wielce kłopotliwy, pochłaniał codziennie wielkie straty, jednak pozwalał równie skutecznie trzymać w szachu tak twierdzę na Odearecie, jak i Fortecę Cartalezza po drugiej stronie rzeki i wszystkie rzeczne przeprawy. Moho Tepe wiedział, że po zakończeniu bitwy o Akwirgran zwolnione z Wergundii armie Opetl Cuitli, Czarnego Wilka, już obwołanego jednym z pogromców Akwirgranu, po odpoczynku w Aenthil, zmierzają pod Styrgrad. Wiedział też, że zanim zostaną podpisane układy i traktaty, liczyć się będzie polityka faktów dokonanych i być może nie zdążą już opanować całej zniechęconej Styrii, ale stolica była w zasięgu. To Styrgrad stanowił Styrię, pozbawione stolicy kadłubowe państwo, nawet jeśli powstanie, będzie karykaturą bez kręgosłupa.

Uderzenie na północą część miasta było z pozoru nielogiczne – bo najbardziej prawdopodobnym było, że to południowa część zostanie w rękach Qa. Ale Moho Tepe mierzył wysoko, mierzył w zdobycie całego miasta, zanim rozpoczną się rokowania pokojowe, to natomiast można było uzyskać, zdobywając północną część i odcinając południową. Zrujnowana wybuchem mineralowej bomby twierdza na Odearecie nie mogła długo wytrzymać. Dlatego tana-tlaton zdecydował wdrzeć się do miasta, zając przyczółek i czekać na dotarcie sił Czarnego Wilka. Po zajęciu północnego brzegu Styria i jej sprzymierzeńcy mogliby bronić się już tylko w Cartalezzie, odciętej ze wszystkich stron i skazanej na porażkę. Były jeszcze południowe, mieszkalne dzielnice, Alcaron, Cortania, Loranitta, zamienione w pola ruin stanowiły obszar bronionych partyzancko zasieków. Na to jednak Moho Tepe zachował ostatnie posiadane bomby mineralowe, już przygotowywane na Cytadeli...

Z miejsca, gdzie stali, rdzawe mury Cytadeli było widać doskonale. Spowite mgiełką wydawały się lekko unosić nad dachami, rytmiczne błękitne rozbłyski wybuchów, niesłyszalnych prawie z tej odległości, dawały znać o trwającej tam non stop walce, pochłaniającej kolejnych ludzi... ludzi, których Styria miała coraz mniej. Jednak wyparcie Qa z miasta zanim dotrą ich kolejne siły, stawało się desperacką koniecznością, być albo nie być oblężonego Styrgradu.

Imira odwróciła wzrok, powstrzymując się od zgorzkniałego komentarza. Miguel oczywiście nie zamierzał się powstrzymać i półgłosem wrażał właśnie swoją opinię o rzekomej opieszałości dowództwa.

Nie słuchała.

Wizja tego, co miało się za chwilę wydarzyć, ciążyła na jej myślach za bardzo, nie zostawiając miejsca na taktyczne rozważania, narzekanie i żarty. Zbyt... za bardzo się bała.

W SSW potraktowano ją z szacunkiem, jak dowódcę, którym przecież nie była, choć uznano ją za osobę odpowiedzialną za delikatną operację. Pozwolono sprawdzić warunki w pomieszczeniach, środki bezpieczeństwa, popatrzeć w oczy żołnierzom, którzy mieli zadanie wykonać, wszystko wedle szczegółowych rozkazów Arthasa. Rozumiała to wszystko, naprawdę, ale cholernie trudno było stłumić wewnętrzny sprzeciw i bunt.

Bo to po prostu było zajebicie niesprawiedliwe.

Odrywając się od ponurych myśli westchnęła i powiodła wzrokiem po twarzach towarzyszy. Siedzieli na murach południowego Rawelinu, korzystając z chwilowej przerwy w ostrzale, jakoś bez

wcześniejszego uzgadniania wszyscy postanowili spędzić tę chwilę w promieniach jesiennego słońca, którego mieli już prawdopodobnie nie zobaczyć.

Miguel Baretto, wieloletni towarzysz, którego przygotowała na zastępcę swojej sekcji, spodziewając się rychłego aresztowania w Wergundii.

Esteban Jelasquez, miner i snajper z Visnohory.

Julitta Estevez, dziecko ulic Styrgradu, przerażająca w swojej bezwzględności, ale oddana oddziałowi i idei. Niestety.

Mauricio del Cruz, wychowanek i podwładny, którego sama wciągnęła do tercji, którego trzymała za rękę, gdy przechodził zakażenie, a potem tłumaczyła z niezliczonych zuchwałych akcji, które podejmował.

Zresztą, tych, których wciągnęła do Tercji, było tu sporo. Byli żołnierze, którzy przeszli z nią akcją w ruinach lirzyjskiej Birki, spisani na straty od samego początku teraz między sobą komentowali, że wówczas uciekli śmierci tylko na chwilę. Miguel i Esteban wspominali Visnohorę i pozostawionych tam towarzyszy. Ktoś wspomniał traumatyczną drogę portalem do wschodniej Wergundii. Ktoś przypominał, że Czarna Tercja już raz odbijała Cytadelę, składając ofiarę życia.

Był jeszcze Inigo Batista, dowódca komandorii północnej, do niedawna przyboczny samego Kethrena Ferranta... Zatrzymała na nim na chwilę spojrzenie z lekko kpiącym uśmiechem.

Komandor... Batista otrzymał ten stopień tylko dlatego, że był dobry w upominaniu się o awans, bo oprócz tego był miernym dowódcą, miał trudności z posłuchem u tercjeros, ciężko mu przychodziły trudne decyzje. Zależało jej niegdyś na tej funkcji, znała niuanse polityki północy o niebo lepiej niż obecny komandor, mogłaby samodzielnie decydować, podejmować inicjatywy bez wieszania na agentach operacyjnych SSW... w sumie może dlatego nigdy tego awansu nie dostała, przemknęło jej przez myśl.

Jakkolwiek by Batisty nie oceniała, był tu teraz razem z resztą tego, co zostało z komandorii północnej.

Dwudziestu ośmiu ludzi.

Zza węgła dochodziły dźwięki, wyróżniające się wśród szumu miasta, stuk butów na bruku, jakieś podniesione głosy. Spojrzeli po sobie, potem większość spojrzała na nią.

Imira nie umiała wytrzymać jednak skierowanych w nią spojrzeń. Zakłęła ostentacyjnie i z trudem powstrzymując drżenie rąk energicznie wybiła się na mur obwałowania, a dalej na ziemny wał, oddzielający ich od sąsiedniego ciągu działobitni.

Poniżej korony bastionu, przed nią rozgrywała się spodziewana scena.

Kolejni z czarno odzianych żołnierzy, jeden za drugim, składali broń. Otaczający ich kordon trzymał uniesione do strzału muszkiety i pistolety, oficerowie stali z rapierami w rękach. Nawet z takiej odległości dało się wyczuć strach, a przecież po rudych mundurach można było rozpoznać zrekonstruowaną Gwardię Arcyksiążęcą, jedyną formację, która była w stanie w ogóle dotrzymać pola Czarnym Diabłom. Pewnie dlatego to ich wybrano do tej roboty.

Zdenerwowanie przejawiało się jasno w nerwowych i niepotrzebnie brutalnych ruchach, gdy kolejnego z tercjeros szarpnięto, by uklęknął i podniósł ręce. Widziała dreszcz, który nim wstrząsnął, widziała grymas na jego twarzy, o mały włos od decyzji, by jednak nie pozwolić się obezwładnić, by powalić podchodzącego gwardzistę, wbić mu w gardło wyciągnięty z cholewy nóż, by ich wszystkich...

Pozwolił. Patrzyła na drgające na skroniach ścięgni, gdy zaciskał zęby, i przez krótką chwilę złapała jego spojrzenie. Związano mu ręce i nałożono jakąś formę obręczy na czoło, towarzyszący gwardzistom magowie wykonali swoją robotę równie nerwowo jak żołnierze.

Ostatni z zachodniej komandorii zniknął w mroku wrót, prowadzących w podziemia Cartalezzy, a Imira zdała sobie sprawę, że nie będzie w stanie zapomnieć spojrzenia tercjero, tego ładunku rozczarowania, żalu, zawiedzionej wiary, wściekłości i rezygnacji.

Usiadła na podkurczonych nogach, powtarzając sobie jeszcze raz, i kolejny, że tak właśnie trzeba. Nie ma innego wyjścia. Są zarażeni obcą wolą, są podatni na zewnętrzny rozkaz. Są gigantycznym zagrożeniem dla i tak narażonych na ataki dowódców styryjskich. To dla dobra kraju. I taki jest rozkaz. I...

Za nią z dołu dobiegł ją dźwięk obcasów na bruku, urywany głos oficera wydającego komendę „Doooo strzału!”

Równocześnie usłyszała śmiech, znajomy i już od dawna przewidywalny, dźwięczący w jej głowie upiorny chichot, zawsze zapowiadający coś złego. Od dawna już nauczyła się nad nim panować, ale niemal zawsze był formą niezamierzonego ostrzeżenia. Zanim zdążyła zeskoczyć, już widziała, co się dzieje.

- Rzuć to! – krzyczał o wiele za wysokim głosem, by być poważnie potraktowany, oficer gwardii – Rzuć natychmiast!

- Ręce z daleka od broni, bo ja cię dopiero nauczę strzelać! – Miguel, tym razem lakonicznie, jak na siebie, skwitował swoją wyciągniętą w kierunku oficera lufę pistoletu, do którego panewki przykładał właśnie żarzącą się końcówkę hubki – Nie będziecie tak traktować moich ludzi!

Pod jego nogami leżał nieprzytomny najwyraźniej gwardzista, dwóch innych właśnie otrząsało się z ziemi, po której chyba ktoś ich wytarzał, pozbawiając przy tym broni. Broń – noże i rapiery – leżała pod nogami Mauricio, który w przykłęku ocierał krew, zalewającą mu widoczność na lewym oku.

Dalej wszystko potoczyło się szybciej niż błysk.

Któryś z gwardzistów nie wytrzymał napięcia, iskra wylądowała na panewce, pistolet wypalił, kula przecięła powietrze niemal odrywając od ziemi Julittę. Gwardzista upadł, przeszyty nożem, tercjera podniosła się jednak, powodując pomruk szoku i niedowierzania. O tym, że czarne diabły wytrzymują takie rany, wiedzieli wszyscy, mało kto widział to jednak na własne oczy. Padły kolejne strzały, z obu stron, zanim Imira zdążyła wpaść między nich.

- Opuścić broń, do kurwy nędzy! – wrzasnęła z całą mocą płuc, na jaką było ją stać – Batista, pomóż mi, do cholery! Dość! Wstrzymać ogień, kurwa! – szarpnęła jednocześnie Miguela, prawdopodobnie ratując życie jakiemuś gwardziście – Co ty robisz, psiakrew! Strzelasz do swoich??

- Co za różnica – wrzasnął, nawet przez panujący zgiełk usłyszała rozżalenie w jego głosie – Dla swoich i tak już jestem zdrajcą! Przeznaczonym do likwidacji za kurwa całe życie służby!

Niespodziewanie jego głos trafił na chwilę ciszy i wybrzmiał głośniejsze i efektowniej niż kolejne wystrzały. Tercjeros i gwardziści zatrzymali się na chwilę, zastygli w pół ruchu.

- Nie jesteśmy przeznaczeni do likwidacji – powiedziała starannie i wyraźnie, nie potrafiąc jednak pozbawić swojego głosu braku przekonania, uniosła obie dłonie przed sobą, wchodząc równo pomiędzy szykujące się do starcia strony – Szukają sposobu, jak zabezpieczyć nas...

- Sama w to nie wierzysz... - niespodziewanie odezwał się komandor Batista, ale wtedy w jego słowa wciął się już officer gwardii swoim cienkim głosikiem po raz kolejny żądając opuszczenia broni. Ktoś próbował doskoczyć do Imiry i obezwładnić ją, odpowiedziała bez namysłu krótkim odwinięciem łokcia w tył i doskoczyła do oficera gwardii. Schodząc mu z linii strzału wymierzyła kopniaka w brzuch, odrzucając go do tyłu, po czym zatrzymała się celując mu wyszarpiętym w trakcie ruchu rapierem prosto w otwarte szeroko oczy.

- Zabieraj stąd ludzi! – warknęła – Wycofacie się, daj nam czas, albo poleje się tu krew.

- Rozkazy były...

- Wypierdalajacie stąd!

- Nie mogę, jesteście...

- Co jesteście.... – podeszła nierozsądnie bliżej, wbrew wszelkim regułom skracając dystans tam gdzie nie powinna, ale chwilowo nawet chyba chciała, żeby gwardzista odważył się odtrącić zbyt blisko podsunięte ostrze i wejść w bezpośredni kontakt – Co jesteście?? – sapnęła z naciskiem – Niebezpieczni? Żebyś kurwa wiedział. Cały twój oddział nie jest w stanie nas tu ani na chwilę zatrzymać. Niczego nie zrobicie siłą, niczego!! Jesteście tu zbędni, bo albo poddamy się sami, albo nikt z was nas tu nie utrzyma. Załap to, kretynie, i zabierz stąd swoich ludzi zanim komuś stanie się większa krzywda! Nic nie możesz zrobić, możesz tylko poczekać, aż sami oddamy broń, a oddamy, bo nie chcemy was tu pozabijać. I bo.... – głos jej się załamał w połowie argumentu, więc zakończyła krótko – Wyjazd! Teraz!

Nie wiedziała, czy poskutkowało jej zacięta mina, desperacko drżący głos, ostrze rapiera czy może logiczne zważenie sił... Pięćdziesięciu gwardzistów nawet przy wsparciu magów i agentów SSW, których już widziała przygotowanych na wałach ...

Po chwili, która była potrzebna na odciążenie rannych, zostali na rawelinie sami. W ciszy, która trwała nieznośnie długie kilka sekund.

- Szarpnął mnie... - mruknął usprawiedliwiająco Mauricio. Spojrzała na niego z wyrzutem.

- To się nie powinno było stać – powiedziała.

- No kurwa faktycznie – dorzuciła ironicznie Julitta. Zsunęła naramiennik, który ochronił jej bark przed rozerwaniem i palcami wyjęła płytko utkwiony ołowiany pocisk, krzywiąc się przy tym

niemiłosiernie.

Zamilkli znów w ponurej ciszy, przerywanej tylko przekleństwami Julitty.

- Bo to jest bez sensu... - mruknął wreszcie Esteban.

- Właśnie tak! – podjął Miguel, gdy pozostali spojrzeli na nich, zupełnie jakby tę przemowę miał przygotowaną od dawna – Psiakrew, już chrzanić jakąś sprawiedliwość, wdzięczność za służbę, nieważne. Ale dobrze, jeśli wirus, który nam wszczepili, pochodzi od ... od złego, jeśli miesza nam w głowach.. Wiemy, że tak jest. Odczuliśmy to. I co? I gówna, i to, że panujemy nad tym. Że tamci, którzy pod Akwirgranem ze mną weszli do gniazda eskhara, nie dali rady? Dali się zaskoczyć. Ja przeżyłem. Panujemy, kurwa, nad tym! Ale dobrze, nawet gdyby. Gdyby nagle demoniczne głosy nam kazały rzucić się na swoich, rozumiem, że się tego boją. Słusznie, zapewne. Tylko to co chcą zrobić, to odpowiednik tego plutonu, przed którym chcieli was postawić w Liryzji – wśród liryzyjskiego oddziału przeszedł pomruk poparcia, pozostali w milczeniu słuchali.

- To nie jest wyrok – mruknęła Imira bez przekonania – Mamy przeczekać...

- W wytłumionych ciemnych celach pod ziemią, gdzie odwali nam jeszcze bardziej?!

- ... aż znajdzie sposób, żebyśmy panowali nad tym pieprzonym wirusem – dokończyła – Jesteśmy potrzebni Styrii, nie chcą nas likwidować.

- Bo tak ci powiedzieli? Kto, Kethren? – dorzuciła Julitta przez zęby, którymi zaciskała właśnie węzeł bandaża. Imira spojrzała mimowolnie na Batistę, który za jej sprawą sam aresztował asa wywiadu kilka tygodni wcześniej.

- Nie, nie Kethren. Arthas. I hetman Ostin – powiedziała. Nie odpowiedzieli od razu, obydwaj wymienieni cieszyli się wielkim szacunkiem Czarnych Diabłów.

- Wierzę, że w to wierzą – powiedziała Julitta – Ale to się nie uda. Albo zwiariujemy w klatkach, albo jeśli Styragrad padnie, dopadną nas Qa i urządzą krwawą jatkę. Tak czy owak ten wyrok to śmierć.

- Mniejsza o nasze życie – dodał Batista – Pies to trącał, serio. Nie jesteśmy tu istotni. Chodzi o to, że przegrywamy tę wojnę, że miasto jest o włos od kolejnej zagłady, że pieprzone niebieskie ryje ufortyfikowały się nam pod nosem. A my... wszystko, co moglibyśmy działać, wszystkie szale, które moglibyśmy przeważyć, cały cholerny potencjał lat szkoleń i poświęceń, wszystko to psu w dupę. Zmarnowane, właśnie teraz, kiedy jest tak cholernie potrzebny każdy człowiek, który we jak trzymać rapier, najlepszych swoich żołnierzy Styria marnuje... ze strachu...

- To jest bez sensu – powtórzył raz jeszcze Esteban.

- Wśród Laro jest taki zwyczaj – wtrącił się Mauricio – Jak ktoś dostaje wyrok, albo chce się zabić, to nie marnuje tak o ostrza, tylko znajduje sobie oddział wrogów i idzie ich naciąć, żeby chociaż pewną śmiercią zrobić coś dobrego...

- Znalazł by się niejeden oddział wrogów – głos Miguela niósł ze sobą jakąś przekorną nadzieję, jego spojrzenie rzucone w kierunku Cytadeli zmusiło ich, by także spojrzeli na wciąż błyskającą błękitem twierdzę – A gdyby – kontynuował w ciszy – jednak nadać temu wszystkiemu jakiś sens. Rozwiązać ich problem, jeśli uważają, że Styria będzie bezpieczniejsza bez nas, to niech tak będzie. Ale przynajmniej zrobimy to, do czego nas stworzono – spojrzął wymownie w kierunku Cytadeli - Bo przecież tego ataku bez zaplecza nie da się przeżyć, będzie gorzej niż na Visnohorze. Ale gdyby się udało... Wyparlibyśmy ich z miasta na północnym brzegu... ile to warte? Bo mi się zdaje, że więcej niż nasze przeklęte łby, nawet jeśli nas pośmiertnie zdegradują i ogłoszą zdrajcami za złamanie rozkazu, pieprzę to, nie liczy się moja reputacja tylko to, co mogę zrobić dla Styrii. Dla Panienki.

Pytanie zawisło w powietrzu pomiędzy krzyżującymi się spojrzeniami, w których pojawiało się coraz więcej iskier.

Coraz więcej nadziei.

Imira pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Miguel, to...

Przyjaciół złapał ją za ramiona.

- Imira! To ma szansę! To... ma nawet sens.

- Nie ma. Mieliśmy czekać, aż znajdą...

- Pani furyer – komandor Batista odsunął Miguela, niespodziewanie przeszedł na wersję formalną, więc mimowolnie wyprostowała się w służbowej postawie. Mówił przyciszonym głosem, tak, żeby rozegzaltowany Barreto i pozostali mogli chwilowo zająć się własnym planem – Ja rozumiem te wszystkie logiczne argumenty, ale oboje wiemy, że nic by z tego nie było. Nawet jeśli któremuś dowódcy nie omsknie się ręka na rozkazie, to znalezienie remedium na wirusa zajmie

dziesięciolecia. Nikt z nas tego nie zniesie zamknięty żywcem w grobowcu... Nie czarujmy się, to pani tu nimi dowodzi, nie ja. Zawsze tak było – opuścił głowę, jakby mu ciążyło to wyznanie – Tak powinno być. Imira... To ty te dzieciaki tu ściągnęłaś, byłaś przy nich, modliłaś się za nich i trzymałaś za rękę, jak chwyтали swoje szanse walcząc z wirusem, jak mierzyli się z ciemnością na każdej cholernej niemożliwej misji. Może to najważniejsze, co zrobią kiedykolwiek. Nie zostawiaj ich teraz...

Imira patrzyła w ziemię szukając odpowiedzi. I poczuła przerażenie. Nie, nie swoje. Oprócz swoich bardzo klarownych odczuć czuła przerażenie jej, tak jak słyszała jej chichot czy kpinę, tak teraz był to nagły, gwałtowny strach.

- To dziwne – powiedziała – Przetrwiałabym to, licząc że wydrę jej z powrotem tych, których pożarła. Torresa... Sangre... Albo chociaż ich pomszczę. Ale jak o tym myślę, nie wiem, czy to nie byłaby całkiem dobra zemsta...

Za plecami Batisty żołnierze przygotowywali się do działania, pospiesznie dociągali klamry, poprawiali ładunki i broń, jak przed każdą poważniejszą akcją. W toku rutynowych czynności wątpliwości rozwiały się jak mgła w słońcu. W końcu, wreszcie wiedzieli, co mają zrobić. Miguel wyciągnął przed siebie pięść w wymownym geście patrząc po wszystkich wyczekująco.

- Może i szlag nas trafi – uśmiechnął się zadziornie – Ale na własnych warunkach.

Esteban położył dłoń na jego pięści, za nim Julitta i Mauricio, i pozostali. Ostatni zrobił to Batista, wymownie patrząc Imirze w oczy.

Pytanie zawisło w powietrzu wraz z jej dłonią, uniesioną chwilowym odruchem do amuletu na szyi. Trochę jak wspomnienie, trochę jak pożegnanie.

- A jeśli się nie zgodzę?...

Sztab dowodzenia obroną Styragradu mieścił się na Odearetcie, ale nie w dawnym pałacu Arcyksięcia. Po tym został jedynie lej w ziemi i toksyczna chmura. W podziemiach jednej z kamienic przy trakcie gerejskim, która miała wystarczająco obszerne piwnice. Pomieszczenie śmierdziało pleśnią i jak wszystko w tym mieście, uryną i krwią. Zwykle gromadzili się tu także dowódcy wergundzcy z byłym już księciem Severo dar Rodlingenem na czele, oraz wszyscy dowódcy tercji.

Tym razem byli niemal sami członkowie Rady Regencyjnej.

Było ich znacznie mniej niż niegdyś. U szczytu stołu stał hetman Lambert Ostin, łatwo rozpoznawalny po bliznach na twarzy. Niegdyś ruda broda dowódcy w tej chwili była już srebrzysto – złota, rozjaśniając porytą bliznami i zmarszczkami twarz.

Obok niego, przewyższając go nieco, stała mocno zbudowana elfka o bladej, pokrytej grubą warstwą makijażu cerze. Szare przenikliwe oczy były zaczerwienione i podkrążone w charakterystyczny sposób, wskazując jedną ze starożytnych.

Naprzeciwno, z ubłoconymi butami zapartymi o przeciwległy stół, siedział krasnolud, wsparty na sporej wielkości toporze. Jego broda, długa aż do pasa i zaplatana w spinane metalem warkocze, wciąż jeszcze była ruda, choć wiekiem przewyższał Ostina kilkudziesięciokrotnie.

Obok niego siedział z głową opartą na dłoniach czarnowłosy mężczyzna w szacie arcykapłana, za nim stał nieco nonszalancko oparty o brudną kolumnę wysoki i postawny człowiek, w którym po nieodłącznej, zawiązanej wokół szyi chuście można było rozpoznać członka koczowniczej społeczności starożytnego Chanatu... O ile oczywiście ktoś z obecnych mógłby to rozpoznać.

Po drugiej stronie stołu wsparty rękami o blat i wpatrzony w mapę stał mężczyzna w mundurze Tercji Gerejskiej, z kilkoma odznaczeniami na piersi i rapierem przy boku.

Zgromadzenie zamykali siedzący przy słupie szczupły mężczyzna w wieku jakichś 60 lat, z szarym płaszczem narzuconym na ramię, oraz wysoki ulundo khor'zigira, stojący u przeciwległego niż Ostin szczytu stołu.

Komandor Arthas Erd właśnie zdawał raport Radzie Regencyjnej z okoliczności i przyczyn, dla których wydał rozkaz aresztowania swojego zwierzchnika i pewnego kandydata na szefa wywiadu, Kethrena Ferranta.

- Nawet jeśli Wergundowie wycofają się po konferencji pokojowej – kończył swój wywód – to do tego czasu tu będą. Gdyby nie zerwanie paktu z Tryntem, wycofaliby się natychmiast po Akwirgranie, lub nawet w trakcie, wewnętrzne naciski zmusiłyby dar Tollera do obrony własnej stolicy, a nie cudzej w obliczu tak prowadzonej naszej polityki.

- Sytuacja wergundzkiej stolicy nie uległa zmianie, komandorze – chłodno przerwała mu elfka – Bitwa o Akwirgran wciąż nie przyniosła klęski Zapołudnia, armie Qa wciąż operują na terenie Wergundii...

- Wycofali się do Visnohory, pani hetman – sprostował oficer – To oznacza, że Akwirgran nie potrzebuje desperacko odsieczy, ich żołnierze i politycy nie będą żądać w tej chwili natychmiastowego odwrotu tymentów Rodlingena, zresztą, dar Toller dał im zajęcie i uciszył sprzeciwy wysunięciem nowego księcia protektora. Dar Avarette jest pragmatykiem, nie będzie się bił za Styrię, ale utrzyma tu wojsko jak długo zdoła.

- Oddziały Czarnego Wilka już widziano o dwadzieścia mil stąd – odezwał się mężczyzna w mundurze gerejskim – Jak tylko dotrą, przez Bramę Kalidoryjską i Cytadelę pójdzie uderzenie, którego prawdopodobnie nie zatrzymamy. Chcecie myśleć o odbijaniu kraju, tym czasem na włosku wisi, żebyśmy utrzymali miasto.

- Z całym szacunkiem, Sterling – odezwał się mężczyzna w kapłańskiej szacie – Gdybyśmy analizowali tylko rzeczy możliwe, Styria by nie istniała.

Hetman Robert Sterling, dowódca obrony Stygradu spojrzął przeciągle na rozmówcę, ważąc ewidentnie na końcu języka ciętą odpowiedź, ostatecznie jednak tylko ukłonił się kurtuazyjnie. Był mężczyzną w sile wieku, podwinięte rękawy koszuli i jej luźno związany kołnierz ukazywały mocną budowę i poorly bliznami skórę. Nosił krótko przycięty na styryjską modłę zarost i włosy na karku ściągnięte taśmą w ciasny kucyk.

- Zapewne zbyt rzadko oddają się modlitwie, by tak jak świątobliwy Tiamat ufać w realizację niemożliwego – w rozmowę wtrącił się mężczyzna w szarym płaszczu, noszonym na ofirską modłę przez ramię – Hetman Sterling ma rację, obrona miasta wisi na włosku. Wczoraj z trudem utrzymano Redan i 7. Redutę, przyczółek Rzeczny prawdopodobnie już nie istnieje. W terenie mamy ochotników, ale możliwości zorganizowania ich i wyposażenia są żadne. Bez wergundzkiej interwencji nie istniejemy.

- Twój podwładny ma rację – Ostin przygryzł wąsa – Avarette nie zaryzykuje buntu w kraju, za chwilę stracimy nawet Rodlingena, a co dopiero....

- Chyba, że dobrze wykonana prowokacja na granicy Aenthil da dobry pretekst dar Tollerowi, żeby rzucił tam swoich paladynów. To zmusi tak Helethai jak i Czarnego Wilka do powrotu spod Stygradu – Oktawian Leandros, wciąż tylko „pełniący obowiązki” zamiast hetman wywiadu, uśmiechnął się znad stołu – I to akurat jest wykonalne. I opóźni rokowania pokojowe, a Qa nie wejdą z powrotem w granice Wergundii, bo bez północnej armii Iltepe Moe nie zdołają.

- Bardzo to pewne i jasne, jak o tym mówisz – mruknął Ostin – Może i wielki mistrz na to pójdzie, to furia i ideowiec. Nowy książę-protektor nie da się sprowokować. Bo wbrew temu co mówisz, owszem, tak Czarny Wilk jak i In'Tebri byliby gotowi wkroczyć do Parve w razie agresji wergundzkiej. Zbyt groźne jest dla nich widmo utraty Aenthil.

Leandros poważnie kiwnął głową.

- Do dwóch dni będziesz miał raport z przygotowań i zwiadu terenowego. Nie mówię o rzeczach, o których nie mam wiedzy – zakończył krótko, powodując kolejną chwilę ciszy, którą przerwał zza stołu krasnolud.

- Ale mogę wam dorzucić trochę optymizmu. Na wysokości jakichś dwóch kilometrów od Nortavilli mamy gotowe gniazda kontrmin, odpalamy na rozkaz. Mamy pomoc ze strony Mei' Aran, jej ludzie udostępnili dalsze przejścia podziemne, robota idzie szybciej.

- Dobra robota, Wulfryk, twoje ostatnie pierdolnięcie wywaliło w powietrze pół ich chrzanionej brygady – elfka uśmiechnęła się i zamaszycie usiadła, przykładając dłoń do poczerwieniałych oczu – Szkoda, że to tak zajebicie za mało.

Zgromadzenie przy stole przez chwilę w milczeniu pusto wpatrywało się w rozłożoną na blacie, nadpaloną mapę Styrgradu. W migotliwym świetle świec, w mokrym półmroku sprawiali wrażenie jakiejś mrocznej sekty albo spiskowców, planujących zamach, nie dowódców i polityków z samego szczytu władzy w państwie...

Państwie, które właśnie przestawało istnieć.

- Enid – mężczyzna o wyglądzie koczownika podszedł do elfki, przerywając milczenie, położył jej rękę na ramieniu. Jego głos łagodnością kontrastował z mocną budową i aparycją wojownika – Zaszliśmy tak daleko. Widzieliśmy już zagładę świata, widzieliśmy własną śmierć. Jesteśmy tu. A nad nami jest sto tysięcy ludzi, gotowych walczyć do upadłego. To wiele.

- Nie ma z nami jego – rzuciła, nie podnosząc głowy – Bez niego jesteśmy niczym. Zawdzięczamy mu wszystko, a opuściliśmy go w chwili próby.

Arthas z uwagą przysłuchiwał się rozmowie, nie wtrącając się, analizował każde słowo, ważył argumentację, obserwował charaktery. Zapamiętywał.

Wyczulona intuicja, a może ta szczególna więź z boginią Tavar, którą miał jako ulundo, ostrzegły go znacznie wcześniej. Na odgłos szybkich kroków u szczytu schodów był przygotowany zanim je usłyszał, podziękował jednak bogini za to, że jednak myśl miał szybszą niż odruch i nie wpakował ostrza między oczy wbiegającego w pośpiechu kuriera. Gонец i tak podskoczył jak wystraszony kot, gdy ulundo nagle zastąpił mu drogę. Zanim zdążył wysapać komentarz do rzuconego przed Sterlingiem na stół meldunku, słowa zagłuszył huk. Wysoki świszczący dźwięk implozji, charakterystyczny i wyjątkowy, wszyscy obecni znali doskonale, więc nikt nawet nie skwitował oczywistego faktu. To był dźwięk zdetonowanej pod kopułą bomby mineralowej. Kopułę, jak umownie określano skomplikowaną magiczną sferę izolującą, opracowano dzięki zyskanym w Birce planom budowy bomb, pozwalającą ograniczyć falę uderzeniową wybuchu, a przede wszystkim zabójczy mineralowy tuman, wymagała jednak precyzyjnej lokalizacji ładunku.

Ktoś właśnie użył kopuły.

- Gdzie? – zapytał krótko Ostin. Sterling rzucił okiem na kartkę z meldunkiem i podał ją hetmanowi.

- Na dźwięk Altabera albo Północny Rawelin - rzucił Leandros – Bo przecież nie..

- Cytadela?? – Lambert Ostin zgniótł w ręce kartkę – Kto wydał rozkaz ataku na Cytadelę? Kto, do jasnej cholery, puścił ludzi w mineralową mgłę? Kto...

- Kurwa mać – zaklął lakonicznie Arthas, komentując to, co stało się oczywiste. Tylko jedna formacja była zdolna wedrzeć się na Cytadelę przez opary minerału. Oczy dowódców, w tym zmęczone oczy starożytnych, wbiły się w niego przenikliwym spojrzeniem.

- Czarna Tercja miała zostać unieszkodliwiona w związku z wpływem złego – Tiamat mówił z naciskiem przez zaciśnięte zęby – Kto pozwolił wyjść im w pole...?

Ulundo uniósł brwi. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu wydanego rozkazu o neutralizacji tercji, jednak rozumiał. Wydawało mu się, że rozumiał.

- Dowiem się – odwrócił się by ruszyć schodami na górę, ale w drogę wbiegł mu kolejny kurier, który minął go zdyszany.

- Raport! – krzyknął – Cytadela zniszczona! Qa się cofnęli!

- Kurwa mać – powtórzyli niemal chórem Sterling i Ostin. Ten pierwszy wyrwał niemal gońcowi kartkę z raportem – Co? Jak to awantura z Gwardią? Ruszyli bez rozkazu...?

- Tak jest, sir.

- Kto tam dowodził...?

Kurier przez moment zawahał się, nie wiedząc, czy może ten raport zdać publicznie, więc nachylił się do ucha hetmana i udzielił odpowiedzi.

- Kurwa mać. Żyje?

- Tak, sir. Jest w krytycznym stanie.

- Więc ktoś to przeżył?

- Tak, sir. Łącznie dziesięciu.

- Nie wierzę...

- Choć... to prawdopodobnie długo nie potrwa, bo wszyscy są... właściwie niemal martwi, przenieśli ich do lazaretów na Rawelinie. Ale wybuch zniszczył centrum Cytadeli, pod kopułą nie przeżył nikt. Nasi ludzie i Wergundowie są już na wałach, wejdą jak tylko pył opadnie. Magnifer dar Rodlingen już wydał rozkazy ataku ulicami Hatuanu, czekają jeszcze na przeprawę z Nadbrzeża, zaczęli jak tylko ostrzał z Cytadeli ustał...

Arthas nie słuchał dalszych słów gońca, ani reakcji Rady. Przebiegając po kilka schodów na raz wybiegł z podziemi, lawirując pomiędzy gruzowiskami na Trakcie Gerejskim w kierunku Placu Odrodzenia, kierując się na Rawelin. Nie miał ochoty zastanawiać się, czy to, co kazało mu biec, to obowiązek, przyjaźń czy poczucie winy.

Czy może jeszcze coś.

To coś dogoniło go gdzieś na wysokości zapadliska po świątyni Paniienki Tavar, wciąż wypełnionego błękitną mgłą. Przez błędy z poprzednich lat, przez bynajmniej nie cyniczne decyzje, zło deptało mu po piętach bardzo blisko. Nie Qa czy lomin'yaró, ale to prawdziwe, utajone Zło, z którym kontakt zawsze podnosił włosy na karku i powodował zimny dreszcz nieznośnego strachu. A przy okazji cholernie bolesne ciśnienie w uszach. Imira skwitowała to kiedyś stwierdzeniem, że jak ma się miękkie serce, trzeba mieć twardą dupę. Jej jak raz to dotyczyło dokładnie w tym samym stopniu.

Tym razem to nie było ciśnienie w uszach, ani nagła fala chłodu, to nie był upiorny kobiecy chichot za plecami. To było jak gwałtowne uderzenie młotem w potylicę. Zwaliło go z nóg, aż poleciał po bruku, czując falę krwotoku z nosa. Zanim stracił przytomność, zrozumiał, że to co słyszy w głowie, to wrzask dzikiej wściekłości.

Nikt nie wiedział, jak wielkie jest Nallari. Nawet rodzimi mieszkańcy podziemi, których wielu widywano tutaj jako zaufanych przybocznych lady Silany Tlais'Orthogok, przyznawali, że są korytarze, o których nie wiadomo, dokąd prowadzą, że są miejsca, z których nikt nie wrócił. Wejścia do takich korytarzy zazwyczaj strzegły symbole i figury, archaiczne oznaczenia, ryte w skałach gdy świat był znacznie młodszy.

Tylwin znał takie miejsca. Zdarzało mu się wchodzić czasem poza zakazane symbole, nieodparcie pociągał go zew ukrytej tam tajemnicy. Jednak miał dość rozsądku, by wycofać się, nim

było za późno, by wrócić. Często jednak widywał tam Ją. Jej szkarłatna aura, którą z lubością przedrzeźniała Tavar, była widoczna nawet w nieprzeniknionych ciemnościach. Ona sama była ciemnością.

Tylwin wierzył w Jej moc, bał się jej, miał trudność jednak z wykrzesaniem z siebie zaufania wobec Pani Mroku. Tym bardziej, że intuicja mówiła mu, że Ona także szukała tam czegoś. Kogoś? Że choć spowite ciemnościami korytarze Nallari nie należały do Niej, gdzieś w głębi czaiło się coś, czego nawet ona, generał Szakala, bała się i unikała. Czarodziej obiecywał sobie wielokrotnie, że kiedyś za pośrednictwem Echirona dowie się.

To jednak nie był ten dzień. Tego dnia Ona oblekła swoją cielesną powłokę, ciało, którego szczerze nienawidziła, choć w oczach człowieka było niewypowiedziane i niebezpiecznie piękne. Oni zostali wezwani pod jej wrota, dowódcy, oficerowie sprawy Szakala, oficerowie Sztabu, niegdyś Sztabu Konspiracji Północy, teraz po prostu Sztabu. Sztabu głównego armii Prawdziwego Stwórcy.

Część czekała w kwaterach, część odważyła się zejść tutaj, do sali, którą Ona uważała za coś w rodzaju swojej kaplicy, miejsca, gdzie przyjmowała hołdy śmiertelników. Spiżowe wrota kaplicy były zatrzaśnięte. Ważyły dobrze kilkaset kilogramów, a mimo to wibrowały od energii, aż podzwaniała od wewnątrz ciężka trzymająca je sztaba.

Coś się działo. Tylwin minął nonszalancko opartego o ścianę Torresa, wraz z nim jeszcze kilku tercjeros. Nie lubił ich, drażnili go swoją arogancką ignorancją, przywiązaniem do siłowych rozwiązań, które go śmieszyły. Z jakichś powodów jednak Ona miała do nich sentyment. Jeden z nich, nekromanta, nie odstępował jej na krok, teraz też po jego nieobecności przed drzwiami czarownik domyślał się, że jako jedyny towarzyszy Pani w kaplicy.

Fala energii zatrzęsała drzwiami. Torres zaklął pod nosem, gdy ze skalnego sklepienia posypały mu się na głowę jakieś drobinki. Zanim ktoś jednak zdążył głośno zadać pytanie...

Drzwi pękły.

Ogłuszający huk pozbawił ich oddechu, przemieszany z Jej wibrującym wrzaskiem, przepełnionym irytacją i wściekłością. Świece i lampy oliwne zgasty i przez chwilę jedynym źródłem światła była szkarłatna poświata dochodząca z kaplicy, a jedynym dźwiękiem – wyjący w uszach bolesny pisk.

Nie werbalizowała wezwania, nie padło żadne „wejść” czy „chodźcie tutaj!”, wezwanie po prostu stało się oczywiste w ich umysłach, na równi z faktem, że po wejściu powinni uklęknąć i nie podnosić głowy zanim Ona nie nakaże. Nawet nie podnosząc wzroku dało się zauważyć Ją, spowitą krwawymi wstęgami opalizującej mgły. Sangre stał kilka kroków za nią, z głową pochyloną, nawet on najwyraźniej czuł się niepewnie wobec napadu jej gniewu.

Wrzasnęła raz jeszcze prosto w nich, zmuszając do pochylenia się przed nią. Czerwona wstęga wystrzeliła spod jej dłoni i ze świstem przecięła powietrze jak bat, uderzając w zaskoczonoego Torresa. Styryjczyk poleciał na ziemię, szkarłat oplótł go i docisnął do kamiennej podłogi. Tylwin widział, jak tercjero przez chwilę szarpie się, po czym rozluźnia mięśnie oszczędzając przyblokowany oddech.

- Nigdy nie umiecie odpuszczać, prawda? – Ona zmaterializowała się tuż nad nim, jej wyciągnięta dłoń zaciskała się coraz bardziej, im bardziej twarz żołnierza kolorem zaczynała przypominać otaczający go dym – Nie wiecie, kiedy przegraliście. Kiedy trzeba się poddać i zrobić, co każą! Co każe wam sądzić, że ta odrobina łaski, która płynie w waszych żyłach, czyni was czymś więcej niż śmiertelnym mięsem.... !

Tylwin zastanawiał się nad reakcją, jednak po chwili namysłu Styryjczyk nie wydał mu się warty ryzyka. Z niejaką ulgą jednak przyjął, że ktoś zareagował. Sangre minął go i stanął między Panią, a niemal nieprzytomnym już Torresem, uklęknął przed jej wyciągniętą ręką, unosząc swoją w proszącym geście. Spojrzała na niego, gniew rozproszył się, mgła rozrzedziła, pozwalając Styryczykowi wciągnąć powietrze, którym krztusił się przez dłuższą chwilę.

- Należycie do mnie – jej głos się uspokajał się bardzo powoli – Wy i ci, którzy wciąż odmawiają uznania tego faktu. Uczynię z was prawdziwie nieśmiertelnych, najpotężniejszą gwardię Tego, który nadchodzi. I nie obchodzi mnie, czy będzie żyć, czy też będę musiała was wskreszać!! – Torres zdążył się już podnieść na kolana, z trudem podpierając na chwiejnych rękach, które ślizgały się w kałuży ciekącej mu z nosa i ust krwi. Krzyk niemal powalił go z powrotem, ale mimo to podniósł wzrok i z dziką nienawiścią spojrzał jej w oczy.

- Nie znasz umiaru, prawda? – syknęła, a mgła na powrót otoczyła żołnierza.

- Znam – warknął z trudem, wypluwając krew – Ale miałem swoją cenę, której wciąż nie zapłaciłaś.

Szkarłat owinał się wokół barków Torresa i zgodnie z ruchem jej ręki unióś go do góry na wysokość jej twarzy. Głos Pani Ciemności zadźwięczał pozorną zalotnością, która Tylwinowi zawsze przywodziła na myśl przyczajonego grzechotnika.

- Patrzyć w oczy śmierci i nie umiesz jej rozpoznać....

- Robię... to... kurwa... pół... życia... - z trudem wypowiedziane słowa Torres niemal przypłacił życiem właśnie, gdy obłok mgły zacisnął się ciśniej, a Tylwin usłyszał paskudny cichy trzask pękających żeber.

- Mogłabym sprawić, że całe białko w twoim ciele ugotuje się zanim zdążysz umrzeć, Styryjczyku. Albo wyciągać z ciebie pojedyncze kości w dowolne strony, i powtarzać to przez całą wieczność...

Ciało tercjero uderzyło o podłogę bezwładnie.

- Mogłabyś... - Torres jęknął niewyraźnie, gdy już przestał krztusić się krwią – Ale ... mnie ... potrzebujesz.

Sangre uprzedził ruch Pani Ciemności, zanim jej wściekły gest dobił żołnierza, doskoczył do niego i pozbawił go chwilowo przytomności jednym szybkim ruchem kolby pistoletu.

- Ja nie handluję z wami – kształt kobiety rozmył się w mroku, otaczał ich tylko jej głos, a szkarłatny obłok spłynął powoli po policzku Sangre – Za służbę i wierność będzie nagroda. Najpierw służba, potem nagroda. Torres chciał Styrii wolnej od Qa, i tak się stanie, ale najpierw tercja będzie moja. Potem Styria będzie moja. A potem ich fałszywą boginię... pochłonie ciemność.

Pani Ciemności zmaterializowała się w centrum kaplicy na czymś co stanowiło rodzaj tronu na postumencie.

- Pani... - Sangre wbił w nią spojrzenie stalowo szarych oczu, tylko ledwie zauważalne przełknięcie śliny świadczyło, że się denerwuje – Wiesz, że oni nie pójdą na służbę tak po prostu...

- Oczywiście że nie – dźwięk jej głosu obiegł skalne ściany i dotarł do nich z losowych stron – Ja mam jednak kogoś, za kim pójdą.

Sangre tym razem nie zapanował nad twarzą ani nad głosem.

- Chcesz go uwolnić? – jego ton zdradzał strach i gniew.

- Chcę abyś ty to uczynił – tymczasem jej głos znów przybrał ton fałszywej zalotności – On jest już gotów. Jest nasz. Był nasz od początku, jak wy wszyscy. Znajdziecie drogę do podziemi pod Strygradem, przejdziecie przez ludzi Mei'Aran. Im więcej ich przy tym zlikwidujecie, tym lepiej. Znajdziecie miejsce, gdzie trzymają waszych towarzyszy – dodała z ironiczną kpina – i uczynicie ich prawdziwie wolnymi.

Tylwin zdziwił się tym zleceniem, ale nie odważyłby się zaprotestować, nawet gdyby kazała mu przyprowadzić na sznurku samego księcia protektora Wergundii. Gdy jednak poczuł jej lodowatą dłoń na ramieniu, serce podjechało mu do gardła.

- Ty nie – powiedziała, czekając aż miną go pozostali oraz Torres wsparty na ramieniu towarzyszy – Ty nie, czarowniku. Dla ciebie jest inne zadanie...